

MAGAZYN KONFEKCJI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, Łoa strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

PARYSKIE GADY.

66

Twarze agentów zajaśniały radością.

— A ten, kto schwyta lub każe aresztować uciekiniera, dostanie sto tysięcy nagrody.

Na twarzach agentów zamalował się teraz wyraz chciwości.

— A teraz w drogę! — zakończył złodziej. — Dewizą waszą niech będzie dewiza waszych agencji: pospiech i dyskrecja.

Nie minęła jeszcze godzina od tej przemowy, gdy detektywi przeszukiwali zawzięcie góry. Panajon zresztą dawał im z siebie przykład. Nocy jednak poprzemniej spadł ulewny deszcz i zmył zupełnie ślady uciekiniera. Dopiero w pięć dni później odkryto, iż Duret przebywał w małym hiszpańskim miasteczku koło szczytu górskiego Larratecoheguya.

Panajon uściśnął rękę detektywa, który przyniósł mu tę wiadomość i rzekł:

— Bardzo pięknie! Chociaż nie zdobyłeś sobie jeszcze nagrody stu tysięcy franków, zasługujesz jednak na pochwałę. Mianuję cię księciem Larratecoheguya i przyznaję ci gratyfikacji pięćset tysięcy.

I dał uszczęśliwionemu agentowi dziesięć tysięcy frankowych banknotów, którymi Lewis Jackson wypchał jego portfel.

Trochę dalej w Bidarray drugi detektyw dowiedział się, iż Duret zatrzymywał się w tym miasteczku i zgolił sobie faworyty. Nędznik chciał widocznie zmienić wyraz swej twarzy. Wiadomość ta była bardzo cenna. Panajon tego, który mu ją przyniósł, nagroził uściśnięciem dłoni, mianowaniem go księciem Abaraccobarría od szczytu góry, pod którą leżało Bidarray i taką sumą, jaką otrzymał jego kolega.

Detektywi uwielbiali tego nowego swego szefa, którego dobry humor i szczodrość olśniewała ich. Rywalizowali z sobą w gorliwości. Ślad doprowadził ich aż do oceanu, o trzydzieści kilometrów na północ od Hendaye, na piaszczyste wybrzeża, zarosnięte gęstym sosnowym lasem.

Maksymowi Duretowowi jako środki lokomocyj służyły tylko jego własne nogi i wynajmowane powozy. Trzymał się ciągle daleko od żelaznych dróg. Przejeżdżał na wiejskich wózkach z jednej miejscowości do drugiej, by jak najbardziej popłatać pozostawione po sobie ślady.

Ewa towarzyszyła już Panajonowi. Chorzy na tyle już wyzdrowieli, iż mogli się z nim połączyć. Ludwika została odwieziona do Paryża przez Kamilę i Maurycego.

Miliarder razem ze swymi towarzyszami, dwu dziesięciu detektywami, przeszukiwał szczegółowo całe wybrzeże Atlantyku. Był w Leon, Contis, Mimizan, Arcachon, aż wreszcie po licznych kołowaniach po wszystkich tych miejscowościach dotarł do Howitin les Bains, maleńkiej stacji kuracyjnej, położonej o kilka kilometrów od starego miasteczka, do którego dochodzi kolej lokalna.

To wybrzeże oceanu wyglądało bardzo smutno. Trzy tuziny małych domków, z których większość była niezamieszkałą przez trzy czwarte roku, wystawione były na porywy wiatru, który dał tutaj ustawicznie. Nie ochraniało ich ani jedno drzewo, ostre bowiem powietrze nie pozwalało rosnąć tutaj żadnym roślinom. Las ciągnął się dopiero o kilkaset metrów w głąb kraju.

— Ludzie, którzy tu przyjeżdżają na wakacje, nie bardzo widocznie są wymagający — zauważył Panajon, który siedział obok Lewisa Jacksona na szerokim wózku, specjalnie przystosowanym do nadbrzeżnych piaszczystości. — Widziałem Grande Chartreuse, w którym pobyt nigdy nie był uważany za

rozrywkę, a mimo to wydało mi się ono daleko weselszem.

— Tak... — potwierdził miliarder. — Zatrzymaj się, mój przyjacielu — dodał, dotykając się ramienia stangreta.

Dwa konie zaprzęgnięte jeden za drugim, zaraz stanęły. Znajdowali się pośrodku drogi, szumnie nazwanej avenue, wzdłuż której ciągnęły się rzędem niskie domy. Gromada robotników o ciemnych, brązowanych twarzach, budowała w pobliżu drugą drogę. Z obnażonymi piersiami i rękami, w beretach na głowie, pracowali gorliwie, to kopiąc motykami ziemię, to tłukąc kamienie, które rozsypywano i ubijano na wyrównanej powierzchni. Wysoki mężczyzna o czerwonej twarzy, z grubą łaską w ręku kierował robotą.

— Tak — rzekł Lewis Jackson, rozglądając się dokoła z ciekawością, jaką rzadko kiedy można było u niego zauważyć. — Znam w Bretanii małą plażę, którą uważałem za najsmutniejszą na świecie... Wiadzę teraz, że się mylił...

Dał znak stangretowi, by ruszył i pojechali znowu.

Detektywi zebrali już tu informacje i udali się w nowym kierunku. Duret po krótkim pobycie tutaj, skierował się na Medoc do Bordeaux. Była dziesiąta godzina rano. O dziesiątej godzinie wieczorem dojechali do Bordeaux, gdzie jednak kończyły się ślady ich uciekiniera.

Gdy Panajon ujrzał, iż agenci wracają z niczem, omal że nie zaczął wyrwać sobie ze złości włosów z głowy. Piotr zagryzał do krwi wargi.

— Nie traćcie spokoju! — rzekł im miliarder.

— Jakto nie traćcie spokoju — zawołał Panajon — kiedy ślad po nim przepadł!

— Już nieraz on przepadał...

— I zawsze go odszukaliśmy, tak! lecz działa się to na wsi... A teraz jesteśmy w mieście! Jeżeli trudno ukryć się na wsi, a lepiej już w lesie, to zgubienie śladów w mieście o trzystu tysiącach mieszkańców jest najkompletniejszą klęską. Dotychczas byłem spokojny, lecz teraz zaczynam rozpaczć...

Ewa również zaczęła uspakajać Panajona. Nikt nie kładł się spać. Lewis Jackson z towarzyszami swymi i detektywami, spędził całą noc na przeszukiwaniu Bordeaux.

Joe Smith, którego zdolności jako doświadczonego cowboya przynosiły cenne usługi w polu, ustąpił teraz pierwszeństwa Panajonowi. Jankes był niezastąpionym na wsi. Złodziej obejmował dowództwo w mieście. Nocne jednak poszukiwania nie przyniosły żadnego wyniku. Nastąpił dzień, a o Durecie nie było żadnych wiadomości.

Koło pierwszej południu po spożyciu pierwszego śniadania Panajon udał się sam na ogromny plac Quinconces, zastawiony straganami i jarmarcznymi szopami. Dokoła stały tłumy ludzi, była to bowiem niedziela. Słońce świeciło, prażąc niemiłosiernie. Tłumy kurzu unosiły się w powietrzu. Złodziej kręcił się po placu bez żadnego planu. Był zniechęcony.

— Nie mam najmniejszej nadziei na schwytanie go... — mówił do siebie. — Lecz ponieważ nie wiem, gdzie się znajduje, może być tak tu, jak i gdzie indziej.

Czując się bardzo zmęczonym, Panajon chciał odpocząć i w tym celu wszedł do najbliższej szopy, nie zauważył przytem, iż nad wejściem widnieje pompatyczny napis „Royal Cinema Theatre”. Siadł na pierwszym z brzegu krześle i wytarł chustką spoconą twarz i czoło. Zaraz zaczęło się przedstawienie, oczy wszystkich zwróciły się na ogromne, białe płótno, zawieszzone w głębi szopy.

— Wodospad Niagary! — zawołał służący kinematografu.

Panajon, zajęty swymi myślami, nie rzucił nawet okiem na amerykański krajobraz, jaki się przed nim

przesuwał. Przyszedł tutaj, by odpocząć, nie interesując się wcale przedstawieniem.

W chwilę potem służący obwieścił:

— Aleje Pourny!

Aleje Pourny jest to ulubione miejsce spacerowe mieszkańców Bordeaux. Pomysłowy przedsiębiorca pokazywał widoki miasta, w którym urządził kinematograf. Zaciekawienie publiczności wzmogło się. Z tańszych miejsc widowni zaczęły się sypać najrozmaitsze uwagi.

— Patrząc! O! Stary Ludwik, co sprzedaje gazety.

— A tu właściciel kawiarni angielskiej!

— Ojej! jakie to ładne!

Służący znowu oznajmił:

— Wybrzeża.

Były to, ma się rozumieć, wybrzeża Bordeaux. Okrzyki zaczęły się na nowo.

— O! stara baba, co sprzedaje wodę sodową!

— A zobacz tam, czy dym idzie z komina na Gironde!

— Ma się rozumieć, że się karzy z niego... Zaraz odjedzie... Pasażerowie wchodzą na pokład...

Panajon w chwili tej spojrzał bezwiednie na obraz na płótnie i krzyknął nagle:

— Ah!...

Zerwał się z miejsca i chciał zaraz biec.

Na pomoście, który łączył statek z brzegiem, cisnęli się ludzie. Siadali oni na *Gironde*. Panajon poznał między nimi Maksyma Dureta. Złodziej, wyciągając machinalnie przed siebie ręce, jakby chciał kogo schwycić, ujrzał, jak prezes idzie przez pokład i znika w drzwiach salonu pierwszej klasy.

— Ah!... — zawołał znowu.

Potem, nie zważając na zdziwienie swych sąsiadów, wybiegł z sali i podskoczył do właściciela kinematografu, który spacerował przed kasą.

— To są widoki Bordeaux? — zapytał go. — Kiedy były one zdejmowane?

— Jakże widoki? — zapytał z kolei właściciel, zdziwiony i zaniepokojony trochę.

— Wybrzeża!

— Zdejmowane były wczoraj...

— A jaki to statek wtedy odjeżdżał?

— Nie wiem... Dlaczego?...

Kilku widzów, zaintrygowanych gestami i nagle wyjściem Panajona, opuściło swe miejsca i przysłuchiwało się teraz ich rozmowie. Jeden z nich przerwał właścicielowi i odpowiedział za niego z silnym miejscowym akcentem.

— To był statek *Gironde*...

— Dokąd on jedzie? — zapytał Panajon swego informatora:

— Do Pauillac... Odwozi pasażerów, którzy mają się udać do Południowej Ameryki...

— Czy jest pan tego pewny?

— Także pytanie! Czy jestem pewny? Pilotowałem *Gironde*!

— Dziękuję!

Panajon zbiegł ze schodów i puścił się pędem przez plac. Wreszcie dobiegł zadyszany do dorożki, stojącej na rogu ulicy i kazał się wieść galopem na dworzec, obiecując suty napiwek. W dwadzieścia minut dojechał do kolei. Nadjeżdżał właśnie południowy express. Złodziej tyle tylko miał czasu, by kupić bilet i wsiąść do wagonu, gdyż pociąg zaraz ruszył. Po drodze wysłał jeszcze depeszę do miliardera. Teraz siedział pełen radości w wagonie i zacierając wesoło ręce, patrzył jak słupy telegraficzne migają mu przed oczyma. Pociąg pędząc z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, przejechał przez stację Pessac i zagłębił się w olbrzymim sosnowym lesie, który tu się zaczyna, gdy jakiś pasażer zwrócił się do siedzącej koło siebie żony i rzekł z pewną dumą:

— Prawda, ładnie jedziemy?

— Ładnie? — przerwał żywo Panajon, wbrew etykietce, która podróżnym pociągów luksusowych